

Archiwum Wschodnie 49



### Emilia Hołowina

z domu Łukaszewicz, urodzona 26 lutego 1907 roku w Rubieżowicach województwo nowogródzkie. Pochodzenie chłopskie, ojciec posiadał 6 hektarów ziemi. Z zawodu nauczycielka.

Po ukończeniu szkoły podstawowej zdałam egzamin do Seminarium Nauczycielskiego w Nieświeżu. Od 1927 roku, do czasu wywiezienia w głąb Rosji w roku 1941 byłam nauczycielką w szkole podstawowej w Horodzieju województwo nowogródzkie. Kiedy wybuchła wojna w 1939 roku, szkoły od września były nieczynne. 17 września 1939 roku weszli bolszewicy. Szkołę podstawową, w której pracowałam przekształcili na średnią szkołę białoruską, do której mogły uczęszczać i dzieci polskie. Dyrektorką szkoły została Rosjanka Istomina. Ciężko było uczyć w tej szkole, ponieważ Polakom niedowierzano i starano się jaknajczęściej kontrolować. Mieli chyba swoich donosicieli, wypytywano dzieci, dorosłych, starano się zwerbować donosicieli. Pamiętam taki przypadek, otóż jeden z uczniów, którego uczyłam zauważył idącego księdza i podbiegł do niego. Po tym fakcie wezwano mnie na specjalne zebranie i postawiono zarzut, że źle wychowuję dzieci, bo rozmawiają z księdzem. Było to powiatowe zebranie nauczycieli w Nieświeżu i chyba zorganizowano je ze względu na mnie. W naszej szkole była nauczycielka, żydówka. Ciężko jej się pracowało, dzieci nie słuchały jej, nie mogła utrzymać dyscypliny. Ja miałam swoją klasę, ale powierzono mi opiekę również i nad Jej klasą. Ciężko mi było wykonywać podwójną pracę.

Na wejście bolszewików ludność zareagowała dwojako. Białorusini pozytywnie, ale przekonali się szybko, że oni tylko obiecują, a nie mają zamiaru dotrzymać słowa. Żydzi najpierw bali się bolszewików, ale później dochodzili z nimi do porozumienia. Żydówki zaczęły uczyć w szkole, chociaż jak już mówiłam na ogół nie miały do tego zawodu przygotowania. Właściwie Żydzi witali bolszewików najbardziej pozytywnie. Białorusini jak już mówiłam na początku cieszyli się. Pamiętam, bolszewicy zorganizowali koncert artystów z Mińska. Kazali na niego iść. Białorusinom bardzo się podobał. Mówili, że nareszcie słyszą swoich, bo koncert był w języku rosyjskim.

21 czerwca 1941 roku, w nocy o godzinie chyba drugiej do domu przyszli z NKWD i kazali się pakować. Pozwalali brać wszystko co się chciało. Zdążyłam zapakować ubrania, bieliznę, buty i żywność. Zabrali mnie moją matkę i dwoje dzieci, czteroipółletnią Danusię i półtorarocznego Jureczka. Aresztowanie nastąpiło chyba z powodu męża, gdyż kiedyś na zebraniu starano się mężowi wmówić, że jest Białorusinem z racji nazwiska - Hołowina, mąż głośno zaprotestował mówiąc, że jest Polakiem. Stawiano mi też zarzut, że jestem za dobrą nauczycielką bo polonizuję Białorusinów.

Miejscowi Białorusini żalowali nas, bardzo lubili nasze dzieci. Nasza służąca Białorusinka kiedy po latach nas odwiedziła już tu w Polsce Ludowej przywoziła przechowane przez siebie nasze dokumenty i zabawki mojego synka.

2

Po zabraniu nas z domu przez NKWD pognano nas na dworzec kolejowy. Wsadzili do pociągu - "ciepiuszki" i powieźli w bardzo szybkim tempie. Transport był ogromny. Zabrano nas z piątku na sobotę i trzymano w wagonach aż do niedzieli. W niedzielę wagony ruszyły. Akurat w kościele były dzwony. Pamiętam, że wszyscy w wagonach zaczęliśmy śpiewać pieśń: "Przed oczy Twoje Panie winy nasze składamy". Jak już mówiłam transport był ogromny. Przy każdym z wagonów po kilku strażników. W moim wagonie było siedemnaście rodzin. Przeważnie kobiety z dziećmi. Był ogromny ścisk, było bardzo duszno. Bardzo nam dokuczał brak toalety. Temu celowi służyła dziura w podłodze wagonu, przykryta deską. Ludzie wstydzili się jedni drugich, załatwiając swoje potrzeby fizjologiczne. Żywiliśmy się swoim prowiantem. Od Rosjan pożywienia nie dostawaliśmy, wody też nie. Czasami na stacjach dawali "kipiatok". W czasie transportu matki dzieci, które uczyłam karmiły nas, dawały mleko. Nawet strażnik, który nas pilnował dziwił się i mówił: "kto ona takaja, że jej daję". Podróż była długa, trwała około miesiąca. Prawie nie było postojów. Kiedy zatrzymywaliśmy się na stacjach nie wolno było tubylcom podchodzić do wagonów, a nam z nimi rozmawiać abyśmy nie mogli się zorientować gdzie jesteśmy. Myśmy nie wiedzieli, że jest wojna radziecko-niemiecka. Pod Smoleńskiem pociąg zatrzymał się, gdyż zaczęły się naloty, wtedy zorientowaliśmy się, że i tu jest wojna. W czasie nalotów straż uciekła, a nas trzymano w zamkniętych wagonach. Bóg czuwał nad nami i uniknęliśmy bombardowania. Po nalocie ruszyliśmy dalej. Po jakimś czasie pociąg zatrzymano i pozwolono nam wyjść. Ludzie wybiegali z wagonów i kucali w pobliżu, aby się załatwić.

Później pociąg ruszył dalej. Po miesięcznej podróży dojechaliśmy do Abańska w Krasnojarskim Kraju. Ludzi rozdzielano do kolchozów. Nas wysłano do Tajgi, do "dieriewni" Samożłowka Abańska, około 28 kilometrów od Abańska. Załadowano nas na platformę ciągniętą przez konie. Podróż była bardzo ciężka, bo droga wyboista, ludzi na platformę poupychanych. Trzymałam synka na kolanach, bałam się żeby nie spadł. W Samożłowce było chyba pięć domostw, zamieszkałych przeważnie przez kobiety i dzieci, bo mężczyźni byli na froncie. W tej osadzie był też młyn. Trzeba było sobie znaleźć mieszkanie, bo mieszkań nie przydzielano. Uprosiłam jedną z gospodyń, która miała też dwoje dzieci i matkę, aby wzięła nas na mieszkanie. Jej mąż nie było, był na froncie, ale musiał przed tem pełnić jakąś funkcję, bo odwiedzano ją, przynoszono żywność. Podejrzewam, że był funkcjonariuszem NKWD, bo gospodyni miała z nimi kontakt, mówili sobie po imieniu.

Gospodyni (nazwiska nie pamiętam) zgodziła się przyjąć mnie i jeszcze dwie rodziny: Bajzer i Sprusińskich, ale pod warunkiem, że będziemy dostarczać jej opał. Opał zdobywałyśmy w ten sposób, że podchodziłyśmy pod stację kolejową, gdzie stały wagony z węglem i po prostu kradłyśmy węgiel, ładując go do teczek. Węgiel składaliśmy pod domem naszej gospodyni. Ona wiedziała, że był kradziony, ale chyba bała się nam coś powiedzieć.

Podwórko wokół domu było porośnięte burzanami, pełne węży skaczących do nóg końskich. Dokuczały nam drobne muszki, które wchodziły w każdą część ciała. Dla ochrony przed nimi zrobiliśmy z worków osłony na głowę. Kiedyś moja matka poszła prac nad rzekę, muszki tak ją obsiadły, że mało nie zginęła. Strach było na dwór wypuszczać dzieci. Samożłowka leżała na nizinie Tajgi więc była tam straszna wilgoć.

Mniej więcej po tygodniu przydzielono nas do pracy. Zorganizowano brygady i poprowadzono na pola. Pracowałyśmy przy sianokosach. Polki przydzielono do brygady mężczyzn. Pracowałyśmy od szóstej rano do zachodu słońca, grabiąc siano. Jakieś normy były ustalone, chyba ilość kopek siana, ile nie pamiętam. Normę pomagali nam wykonać synowie jednej z Polek, też zesłanej do Samożłowki. Po pracy brygadier dawał po kawałku czarnego chleba. Chleb przysługiwał tylko pracującym, resztę rodziny trzeba było wyżywić samemu. Kiedy szłam do pracy, dzieci zostawały z matką. Matce pozwolono nie pracować, bo

była już starsza.

Jak już mówiłam trzeba było rodziny wyżywić samemu. Wszyscy mieliśmy jakieś zapasy. Zrobiliśmy wspólnotę z zapasów i dzieliliśmy się jedzeniem. Zapasów jakoś starczyło. We wsi nic nie było można kupić. Ludność była biedna, sama niewiele miała. Domostwa były biedne, zwierzęta w izbach razem z ludźmi. Spali na pryzkach wyłożonych słomą, bez pościeli. Nie mieli prawie sprzętów, garnków. Jedli najczęściej gotowaną brukiew.

Dwa razy w miesiącu, każdego pierwszego i piętnastego mieliśmy obowiązek zgłaszać się do biura meldunkowego NKWD. Mieliśmy takie specjalne karty (załącznik do relacji), które pełniły chyba rolę paszportów. Zgłaszaliśmy się tam i przystawiano nam pieczątki. Do biura było z naszej osady było 28 kilometrów. Mieściło się ono w Abarńsku. Na dojazd dawano nam konia. Był on jakoś tak wyuczony, że po pewnym czasie stawał i nie chciał jechać dalej. Miejscowi wiedzieli o tym i śmieli się z naszych kłopotów.

Na ogół miejscowi byli dla nas życzliwi. Nie lubiła nas córka naszej gospodyni. Była komsomołką i nie lubiła Polaków. Uważała, że słusznie zostaliśmy ukarani, bo byliśmy burżujami. Jej matka była raczej życzliwa. Kiedy płakałam mówiła: "nie płacz, przywykniesz i będziesz żył". Jak nas przywieźli to przyszli nas oglądać bo im powiedziano, że burżujów przywieźli. Patrzyli na nas i jedna z kobiet powiedziała do mnie: "kakaja ty burżujka kak ty wyglądiejesz kak ja". Na ogół z ludnością miejscową mieliśmy małą styczność. Insykownie baliśmy się ich, że nas okradną, bo jak przychodzili to tak łapczywie patrzyli na nasz dobytek.

Jak już mówiłam, mieliśmy obowiązek dwa razy w miesiącu meldować się na NKWD w Abarńsku. Chyba gdzieś na przełomie września i października 1942 roku poinformowano nas, że mamy znów stawić się na NKWD, było to już po raz trzeci w tym miesiącu. Stawiliśmy się więc i powiedziano nam, że jesteśmy wolni nie musimy się już meldować i możemy opuścić miejsce zesłania. Nie podano nam powodów tej decyzji. Dopiero później z rozmów z ludźmi z innych kolchozów i z ulotek dowiedzieliśmy się o układzie Sikorski - Majski i o tworzeniu się Armii Polskiej w ZSRR pod dowództwem generała Andersa. Decyzja o uwolnieniu dotyczyła tylko osób narodowości polskiej. Jeżeli ktoś z Polaków przyjął narodowość sowiecką nie mógł korzystać z tego prawa. Takie osoby były, szczególnie żony polskich policjantów, chociaż nikt ich do tego nie zmuszał. Nie było ich wiele, bo w Abarńsku było w ogóle niewielu Polaków. Później kiedy wyjeżdżaliśmy te osoby strasznie rozpaczały, rzucały się pod koła furmanek i samochodów odjeżdżających Polaków.

Z moją współlokatorką panią Zofią Sprusińską, która miała córkę Barbarę, wynajęłyśmy furmankę, załadowałyśmy dzieci, moją matkę i resztę dobytku, i wyjechałyśmy z Samożłowki do Abarńska. Tam szukałyśmy kontaktów z Polakami. Chodziły słuchy, że Sikorski organizuje wojsko polskie. Nie bardzo wiedzieliśmy gdzie tego wojska szukać. Władze radzieckie tego typu informacji nie udzielały. Zdecydowałyśmy pojechać do Taszkientu bo było tam podobno dużo Polaków, ale nie bardzo wiedzieliśmy jak tam dojechać. Miałam dużo szczęścia bo w Abarńsku była pewna hrabina z majątku Tucza koło Słucka nieświeżskiego. Mąż Jej był jakimś wysokim oficerem w Dyrekcji Wojska Polskiego w Guzaru koło Taszkientu. Przesłał tej Pani oficera aby ją zabrał z Abarńska i przywiózł do Guzaru. Uprosiłam aby mnie z rodziną oraz Panią Sprusińską z córką też zabrali. Zgodzili się i pojechaliśmy pociągiem do Guzaru.

Jechaliśmy około tygodnia. Kiedy przyjechaliśmy nikt się nami nie interesował. Były tam ciężkie warunki, nie było pracy, ani żywności ale spotykało się polskich żołnierzy. Ulokowałyśmy się przy obozie żołnierskim. Żołnierze przy obozie wybudowali dla nas studnię, gdzie chlorowali wodę i często ją zmieniali. Tej wody używaliśmy do picia. Była tam rzeka ale woda w niej była mętna i żółta nie nadająca się do picia, bo powodowała choroby. Żołnierze przynosili nam żywność, chleb i konserwy. Dzieciom pozwolono kupować żywność w kasynie.

W tym czasie zachorowała moja matka, a potem synek. Była to dezynteria. Chorowali ciężko. Matka zmarła 10 czerwca 1942 roku, a

4  
synek 17 czerwca 1942 roku. Nie było trumień, chowano zmarłych na pustynnym cmentarzu prosto w piasek. Synkowi przykryłam chusteczką główkę, aby w oczki nie nasypało mu się piasku. Został pochowany razem z innym zmarłym chłopczykiem. To było dla mnie tak wielkie przeżycie, że do tej pory nie bardzo mogę o tym mówić.

Po pewnym czasie Polaków z Guzaru załadowano na statek "Kaganowicz" i przewieziono do Krasnowodda na południe Morza Kaspijskiego. Decyzji oficjalnej co do przewozu Polaków nie było, trzeba się było dowiadywać swoimi kanałami. W Krasnowodku musieliśmy przejść kilkutygodniową kwarantannę, gdyż ludzie chorowali, panowała malaria i dezenteria. Po wylądowaniu na brzegu musieliśmy się jakoś urządzić. Nie było domów, spaliliśmy na rozłożonych matach, na piasku. Często padały deszcze. Z parasolki zrobiłam coś w rodzaju namiotu, pod którym spałam razem z córeczką. Przykrywałyśmy się futrem, które rozłożyłam tak, że deszcz spływał po nim na boki. Przychodzili do nas polscy żołnierze, szukając swoich rodzin. Ja zachorowałam na malarię, miałam wysoką temperaturę. Kiedyś zatrzymał się koło nas polski żołnierz, nazywał się Komar. Spytał co mi jest, na co choruję. Przyniósł leki, przede wszystkim chininę i wyleczyłam się z malarii. Później znów zachorowałam, tym razem na czerwonkę. Ten sam żołnierz przyniósł znów lekarstwo, były to krople z kwasu solnego i bardzo mi pomogły.

Po kilku tygodniach zaczęto nas dzielić na grupy i przewozić do Persji, do Pahlawi. Ja z córką trafiłam do Teheranu, do obozu trzeciego. Mieścił się wśród gajów owoców granatu. Z Teheranu wraz z grupą polskich dzieci ( tam poznałam księdza Michała Wilniewczyca ), wyjechałyśmy do Nowej Zelandii.

W 1948 roku wróciłam z córką do Polski, do Warszawy. Wróciłam, gdyż odszukał nas mąż, który powrócił z Rosji do Polski w 1947 roku. Po powrocie do Polski nie podjęłam pracy jako czynna nauczycielka, gdyż nie mogłabym uczyć polskie dzieci o Stalinie. Podjęłam natomiast pracę w Kuratorium Oświaty i Wychowania w Warszawie jako wizytator szkolnictwa specjalnego na województwo warszawskie. Nie prześladowano mnie w Polsce, ale czasami dokuczano różnymi powiedzonkami n.p.: "zawalił się wasz Rząd Londyński" itp. Pracowałam w Kuratorium do 1963 roku, w którym to roku przeszedłam na emeryturę.

Indeks osób do relacji Pani Emilii Hołowiny:

Pani Bajzert z dziećmi - Horodziej  
Pani Zofia Sprusińska z córką Barbarą - Horodziej  
Pani Czekalska  
Pani Ażgin  
Pani Łukaszewicz

ks. Wilniewyca  
Komar (żołnierz)